

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok I.

Warszawa, dnia 24 grudnia 1909 r.

No 52.

Wacław Gąsiorowski.

EMILIA PLATER.

39

Powieść historyczna.

Sama wolała dalej wędrować — dalej... od zgliszcz, od łun. Litwinow nie zadowolnił się wygraną bitwą, nie poprzestał na krwawym pościgu; nietylko stałą i ołowiem gonił, ale i ogniem pożarów. Jeziorosy buchnęły płomieniami, za nimi Imbrody, siedziba prastara Mohlów, za Imbrodami Dusiaty!..

A ona była tuż, poglądała na dzieło zniszczenia; czołgając się rowami, słyszała jęki ludu... słyszała je bezsilna.

I potem uciekała, bała się do rodzonych zapukać, bała znajomym przypomnieć, bała odwołać do najbliższych, aby nie sprowadzić na nich pomsty, nieszczęścia, rozpacz...

Z początku do Grużewskiego myślała, jego pragnęła szukać, — lecz o Grużewskim teraz słych zaginęła, a natomiast o potędze Załuskiego dziwy powiadano... Lecz nie dla dziwów hrabianka zaniechała myśli o Grużewskim, lecz dla trwogi wewnętrznej, dla rozterki, która ją ścigała szlachetnem obliczem Juliusza.

Mogła była do Cezarego iść, — ale i tego nie chciała. Cezary otoczyłby ją staraniem, opieką, względami, a ona pragnęła już tylko za żołnierza walczyć, za szeregowca.

Na domiar przedostanie się do

Załuskiego utrudniała jej choroba Anetki, a więcej jeszcze upór Pólnosa, który pod tym jedynie warunkiem deklarował się Anetkę do Antuzowa odwieźć, że Emilia znajdzie dla się bądź schronienie, bądź zaciąg stosowny.

Zgiełk pomieszanych głosów i blask pochodni wyrwał hrabiankę tym gorzkim myśłom.

Emilia spojrzała przed się. O kilkanaście kroków przed nią, około podsieni karczmy, kotłowała się zbrojna ciżba powstańców, wykrzykując zapamiętałe a jakowemiś groźbami hucząc.

Hrabianka podniosła się, aby do lepianki zawrócić, gdy naraz milczenie zaległo ciżbę, a obocześnie zabrzmiał głos młody i zapanaował nad milczeniem i takimi wyrazami rzucił, iż Emilia stanęła, jak wryta, nie mogąc wątku chwycić.

Słowa: „zdrada“, „niedołęstwo“, „szpieg“, „sprzedawczyk“, „Targowica“ sypały się bez ustanku, budząc wśród ciżby złowróżbne pomruki, a hrabianka przez jeszcze nie pojmowała osnowy.

Aż kiedy, po zapalczywsem odezwanii mówcy, wrzasnęło: „na gałąź z Załuskim!“ — Emili, całą ogarnęła prawda. Lecz nim zdolała poruszyć się, już z głębi ulicy wypadł oddział kawaleryi Kordzikowskiego, już do rozejścia się we-

zwał zbuntowaną gromadę i już broń do oka podniósł. Gromada odpowiedziała łyskiem stali...

Nastąpiła chwila straszna. Kordzikowski jeszcze raz wrzasnął na upamiętanie, lecz obelgami przyjęty, — dobył pałasza na danie komendy...

Lecz hrabianka rzuciła się między wycelowane lufy.

— Bratobójstwem nie kalajcie świętej sprawy!

Na to zawołanie, a bardziej na widok pięknej, natchnionej twarzyczki Emilii, osłupienie zdjęło przeciwników. Ale na krótko, bo wnet warknięto gniewnie:

— Precz z tym smarkaczem! — Zmykaj, pókiś cały! — Baczność! — Rozejść się po kwaterach! — Zobaczymy!

Lufy znów podniosły się. Ale hrabianka ani drgnęła i w odpowiedzi rozkazała ostro:

— Do nogi broń! Ani kroku!
— Co to? — Kto? — Cel!

Hrabianka wyrwała sztylet z z nadrza.

— Wolej mi samobójstwem skończyć, niż z bratniej poledz ręki!.. Strzelajcie!.. możecie we mnie nie mierzyć.. sama potrafię hańby nie przeżyć! Jestem Emilia Plater!

Na dźwięk tego nazwiska lufy pochyliły się ku ziemi i spadły bezwładne, upokorzone.

Z powodu nieotrzymania na czas rękopisu, dokończenie „Emilii Plater“ umiemy w 1-ym numerze 1910 r., który rozesłemy wszystkim naszym dotychczasowym prenumeratom.

REDAKCJA.

MARZYCIEL.

49

Niebo jeszcze gorzało purpurą i czarniawe pola, kałuże, rowy pełne wody i błotniste drogi krwawiły się, jakby przysypane dogasającym zarzewiem, ale dzień już się ob-suwał na dno modrych zmierzchów i tężał w słodkim uśmiechu zamierania. Surowy chłód zawiewał z pól i rozpościerał się nad światem wraz z głęboką cichością, w której coraz rozgłośniej dudniały przelatujące pociągi, coraz przeciągłej grały trąbki dróżnicze i coraz przenikliwiej rozlegały się świsty parowozów.

Na stacyi wyblęskiwały światła i zapanował wielki ruch, bo „miasto“ ścigało na osobowy tak licznie, że zrobił się jakby raut pod gołym niebem, pełen wrzawy i śmiechów. I jak zwykle okna stacyi były ugarniowane twarzami pań i dzieci; jak zwykle, zawiadowca w czerwonej czapce i białych rękawiczkach, wyniosły, urzędowy, kłaniał się po wojskowemu znajomym i dostojnie spacerował od żandar-ma do żandar-ma, którzy stali na dwóch końcach peronu, jak dwa szare, nieruchome słupy; jak zwykłe czarny, chałatowy tłum, niespokojnie się mrowił, przepychał i szwargotał; jak zwykle, uderzył dzwon sygnałowy, świsnęła maszyna, pociąg wleciał zadyszany, przystanął, i potok ludzi, tobołów, waliz i wrzasków uderzył w niego i rozlewał się po peronie; i, jak zwykle, ten sam garson we fraku, z gołą głową i z tacą na ramieniu biegał wzdłuż pociągu i wykrzykiwał:

— Kawa, herbata! Kawa, herbata!

A Józio też, jak zwykle w dnie pogodne, zamknął wcześniej kasę, wyszedł na peron i, jak zwykle, kłaniał się, uśmiechał, ścisnął jakieś ręce, prowadził jakieś rozmowy, witał się z jakimiś znajomymi, do-wcipkował złośliwie o jakichś paniach, zaglądał w okno wagonu, zkąd jakieś rozbawione pasażerki robiły do niego oczy, ale wszystko to czynił jakoś machinalnie i zara-zem sztucznie, a przytem był tak straszliwie mizerny i blade, że pani Zofia spacerująca z Raciborskim, spotkawszy się z nim, prawie gło-sno krzyknęła:

— Co panu? Blade pan, jak płótno!

— Głowa mnie trochę boli. Napiję się czarnej kawy, to przejdzie.

— Jak pan przyjdzie na ko-

lacyę, to sama zrobię kawę i dam panu antypiryny!

— Nie mogę przyjść, bo mam służbę aż do kuryera; zastępuję przecież ekspedytora..

— Niech pan wpadnie chociaż na chwilę! Przyjdzie, co? Zosia tak prosi!.. Szepnęła cichutko. Obiecał, co tylko chciała, ale po odejściu pociągu, kiedy stacya opustoszała, wrócił do kasy, drzwi zamknął na klucz, rolety spuścił i zasiał, aby przygotować kasę do wy-syłki.

Roboty było sporo, gdyż tego dnia, jak przewidywał, zebrało się dosyć dużo pieniędzy, które musiał wysłać najbliższym osobowym do Warszawy; przeliczył je więc, starannie pogatunkował i, porozkła-dawszy przed sobą na stole, zaczął wpisywać do raportu poszczególne pozycje dochodów; ale po chwili odrzucił pióro, rozciągnął się na kanapie, zapalił papierosa i dał się ponieść marzeniom.

Godziny wleky się za godzi-nami; przechodziły wolno, cicho, niepostrzeżenie, a każda śpiewała mu swoją czarowną pieśń o szczę-ściu, każda zdejmowała bielma z je-go ślepych oczów, rozpalala coraz srozsze tęsknoty i pokazywała co-raz inne, coraz bardziej kuszące świa-ty złud i mirażów, że rozkołysany niebiańską falą marzenia unosił się na skrzydłach tęsknoty w te wy-śnione raje cudów i sam już śpie-wał pieśń szczęścia!

Ale po tamtych, czarodziejskich godzinach snienia, przywlokły się inne, stawały się zwolna i odcho-dziły ciężko, jak złowrogie mary, a każda z nich odstaniała srogą twarz rzeczywistości, brutalnie zry-wała bielma z jego oczów i mówi-ła twardym, okrutnym głosem bytu, pokazując mu bez obston i złud całą ohydną Gehennę żywota!..

Korowód dni, miesięcy i lat przesuwał się błyskawicznie przed jego oczami—straszny korowód ży-cia i wszystka jego moc nieubła-gana i głupia.

— Nie, nie, lepiej zdechnąć!—jęknął w śmiertelnej trwodze i zer-wał się na równe nogi.

Pieniądze mieniły się na stole, niby gęsty opad jesiennych liści.

— Trzy tysiące pięćset czter-dzieści sześć!—przeliczył, zgarniając je na kupę.

Ktoś zastukał do okienka i krzyknął:

— Piętnastka dochodzi! Będzie poczta?

Huragan zwałił mu się na głó-wę, stał chwilę jakby zdruzgotany, tylko rozszalałe serce miotało się w strasziwej walce, krew biła w skroniach, jak młotem, a w mózgu zawyły wszystkie jędze strachów i wahań; ale naraz oczy rozblęły stanowczością, sprężył się, jak wilk do skoku, i, odzyskawszy panowa-nie nad sobą, wiedział już, co robić.

— Będzie! Zawołał energicz-nie — przyjdź, to zaniemiemy pie-niądze.

Pośpiesznie zesumował długie kolumny cyfr, wypełnił raport, pod-pisał go, dołączył różne dowody i wszystko razem zamknął do żelaznej kasetki, a pieniądze ob-winął w jakąś gazetę i wrzucił do szuflady stolika, zaś drobne schował do kieszeni.

— Jakoś dzisiaj lekko!—zauwa-żył woźny, niosąc za nim kasetkę do pociągu.

Józio drgnął i nieco przyspie-szył kroku, ale najspokojniej oddał przesyłkę bagażowemu, wziął pokwitowanie i, gdy pociąg ruszył, poszedł z nim bezwiednie aż do końca peronu, bijąc się oczami o roz-świetlone, puste okna wymijających go wagonów.

— Stało się!—szepnął z nie-zmierną ulgą, patrząc na uciekają-ce coraz szybciej czerwone światła.

A potem wracał wolno i często się oglądał na pociąg. Turkot kół rozlegał się coraz ciszej i coraz dalej, aż wreszcie roztopił się w nocnej ciszy.

— Stało się! Powtórzył, ode-tchnął głęboko i uśmiechał się bar-dzo radośnie.

Noc była widna, księżycowa, wszystkie okna już pogasły, sta-cya spała, czuwali tylko dyżurni w kancelaryi zawiadowcy i jeszcze się świeciło na bufecie. Panna Ma-rychna wraz z garsonami sprzątała ze stołów dekoracyjne bukiety, bu-telki i kwiaty.

Józioowi chciało się strasznie pić—język miał suchy, jak wiór, i żarła go gorączka.

— Wygląda pan, jak po milej bardzo schadzce!

Patrzała z podziwem na jego rozradowaną twarz.

— Niestety, wracam tylko ze służby!

Roześmiał się naraz głośno i tak natarczywie zajrzał w jej oczy, że się zarumieniła, czekając z biją-cem sercem jakichś cieplejszych słów; ale on raptem się odwrócił, i, nie tknąwszy już nalanego piwa, poleciał do mieszkania.

Raciborski, przyodziany w jego kożuszek, siedział w głębokim fo-

telu, z fajką w zębach, i okryty kłę-
bami dymu, jak obłokiem, czytał
gazetę.

— Zrobię wam gorącej herba-
ty. Samowar jeszcze syczy!—propo-
nował łaskawie.

— Ma pan łaski u Magdzi!
gorący samowar o tej porze! no, no!

— Bo ja mam na kobiety, pa-
nie dobrodziejski, niezawodną me-
todę: podchlebiam i obiecuję złote
góry; tylko głupia oprze się temu!

Uśmiechnął się podając mu her-
batę.

Józio pił chciwie, a równocze-
śnie błdził lekliwymi spojrzaniem
po zakurzonych portretach praoci-
ców. Raciborski poszedł za jego
oczami i odezwał się wesoło.

— Oglądałem je w dzień. Dużo
warte, ja się znam na tem... Nie je-
dnemu bratu pomagałem spuścić
antenatów, że teraz paradują u no-
wych, pejsatych potomków! Mógł-
bym je panu przehandlować! Każ-
dy wart tak łeb w łeb po sto bla-
tów! Pocóż się mają wzdzić sieroty?

Roześmiał się tak cynicznie,
aż Józio się wzdrygnął.

— Panby sprzedał nawet ro-
dzinne groby!—rzekł zamatowanym,
złym głosem.

— Żeby tylko kto chciał kupić!
Niestety, ale takich głupich niema!
Wolę handlować nawet przodkami,
niżli kraść!—dodał dobrodusznie
bez żadnej ubocznej myśli.

Józio tak silnie postawił szklan-
kę na stole, aż pękł spodek i wy-
padła łyżeczka.

— Muszę wracać na służbę!—
wyrzekł łagodnie, jakby wilgotnym
głosem, zabrał z komody jakieś pa-
piery, obejrzał się po mieszkaniu
i wyszedł na palcach, gdyż u Socz-
ków jeszcze się świeciło. Biła już
druga, gdy znowu się położył na
kanapce w kasowym pokoju.

Godziny znowu przeciągały mo-
notonnie, wolno i nieubłagane, ale
już mu nic nie mówiły, bo leżał
w głuchym i ślepyim bezwładzie
wyczerpania, jak drzewo wyrwane
przez burzę. Ale gdy kurjer wcho-
dził na stację, podniósł się prędko,
pieniądze wyjął z szuflady i, po-
chowawszy je po kieszeniach, otwo-
rzył okienko i spokojnie czekał na
pasażerów...

Nikt się nie zjawił,—hala była
pusta i ciemna; przeczekał jednak
do końca, pozamykał automatycz-
nie wszystko, jak zwykle, i w chwili
kiedy już kurjer miał ruszać, prze-
sunął się niepostrzeżenie przez peron
i skoczył do ostatniego wagonu.

Chlusnął ostry świst, szcękne-
ły wagony i pociąg ruszał z coraz
większą szybkością.

Józio splunął przez okno na
stację z niewypowiedzianą wzdargą

i nienawiścią, i usadowiwszy się na
ławce w korytarzu, przymknął oczy
i dał się porwać szalonej radości.
Tak skończył się jego zły sen o ży-
ciu, a zaczęła się ta wytęskniona
rzeczywistość!

Pociąg leciał, jak huragan, ze
świstem przelatywał małe, uspione
stacyjki, dudnił na mostach, prze-
dzierał się z krzykiem przez czar-
ne, groźne lasy, z dzikim tęten-
tem huczał po równinach, czasem
przystawał na mgnienie i, porwaw-
szy ludzi i rzeczy, znowu pędził
w obłokach dymów, skier i grzmo-
tów, znowu rwał niepowstrzymanie
gdzieś naprzód, jakby ku świtom,
co się jąły rozsączać po zmętnia-
łym niebie.

A Józio wciąż siedział na je-
dnym miejscu, zasłuchany całą swo-
ją istnością w przesłodką melodyę
lotu, w dziki, stalowy rytm świę-
tej potęgi, unoszącej go w te wy-
marzone światy. Miał bardzo nie-
jasne pojęcie, co się z nim dzieje,
i jak przez gęstą mgłę widział pa-
sażerów, konduktorów i te stacye, na
których się niekiedy zatrzymywali.

— Panie Józiu!—Ktoś trącił go
w ramię. Podniósł zdumione oczy.
Franią stała przed nim.—Już z pół
godziny czekam, a pan ani mru-
mru! Gdzie pan jedzie?

— W świat! W cały świat!—
powtórzył ze słodyczą, przesiąknię-
tą rozmarzeniem.

— Zawracanie! Pewnie na imie-
niny do granicy, co?

— Co się z tobą dzieje? My-
ślałem, że do mnie przyjedziesz...

— Nie głupiam! żeby mnie
Soczkowa znowu wylała!—Zaniosta
się ostrym, suchym kaszlem.—
Chodźmy do przedziału. Tu wieje,
jak w psiarni!

Kaszlała nieustannie.

— Jeszcze się nie wyleczyła?—
szepnął, wchodząc za nią do puste-
go przedziału.

— Jak mnie oklepią łopata, to
się wyleczę!—Odjęła od ust skrwa-
wioną chustkę i pokazała.—Gdzież
się to będę leczyła? Od tygodnia
ani jednej nocy nie spałam po
ludzku, bo albo u faceta, albo gdzieś
w drodze! Przecież nie mam nawet
mieszkania! Cholera takie życie!

Józio gorączkowo wyjął garść
banknotów i wetknął jej w rękę.

— Weź, Franiu! Mnie cię tak
straszenie żal, weź! Będziesz się mia-
ła za co leczyć!

Dziewczyna ze zdumieniem spo-
glądała to na niego, to na pieniądze
i chociaż prosił z najszczerzą ser-
decznością, nie mogła uwierzyć
i rzuciła je na ławkę.

— Także mądry szpas!—krzy-

knęła gniewnie — Myślałam, że pan
nie taki jak inni, a pan...

— To twoje Weź je Franiu. Nie
rtuję Proszę cię o to, weź!

Uwierzyła i nagleży trysnęły
z pod złotych rzęs i polały się stru-
gami po wynędzniałej twarzy.

— Moje? Przeszło dwieście
rubli! Moje?—zabełkotała wzruszo-
na.—Mój ty królu złocisty, mój ty
dobry, ty przenaświetszy! Przecież
ja tego nie warta! Dlaczego mi
dajesz? Chociaż mnie zbij, spo-
niewieraj, to prędzej uwierz! Mój
Boże! Mój Boże,—wołała okrywa-
jąc go namiętными pocałunkami.
Ale naraz odsunęła się na drugi
koniec kanapy i w najgłębszym sku-
pieniu patrzyła w jego ciche, do-
bre oczy.

— Ale pan nie ma żadnego
kiełbisa, co?—Stuknęła się w czoło.

— Nie, Franiu; zdrowy jestem
zupełnie i przytomny! Odpowie-
dział z uśmiechem.

— To musiały przypłynąć gru-
be kopy?—Przysunęła się znowu do
niego.

— Tak, przysłała mi ciotka!—
rzucił od niechcienia, odwracając
oczy.—Ale, wiesz, co mi teraz przy-
szło do głowy? Jedź ze mną za
granicę!

— Ja z panem? Za granicę?
Naprawdę? I pan nie żartuje? Co-
raz szerzej otwierała oczy. Musiała
w końcu uwierzyć i zgodziła się
z radością, ale była tem wszystkim
tak niezmiernie oszłamiona, że co
chwila ścisnęła sobie skronie, prze-
cierała oczy, i zaczęła mu się przy-
glądać coraz uważniej i z jakąś
lekliwie podejrzliwą ciekawością.

— I daleko pojedziemy?—spy-
tała bardzo cicho, bo jakby drzemała.

— Gdzie nas oczy poniosą!—
odpowiedział sennie.

— I na długo?

— Na zawsze, Franiu! Na za-
wsze!—skandował z lubością i przy-
mknął oczy.

— Na zawsze!—powtórzyła, jak
echo, wzdrygając się lodowatym
dreszczem, i zrobiło się jej smutnie,
jakby przed jakimś wielkiem nie-
szczęściem.

Józio zasnął, siedziała więc ci-
chutko a w coraz głębszym niepo-
koju, gdyż to wszystko, co ją spot-
kało, zaczęło ją naraz przejmować
takim zabobonnym strachem, że
postanowiła na pierwszym przystan-
ku uciec z pociągu; ale gdy miała
już wychodzić z przedziału, Józio
otworzył na chwilę oczy i uśmiech-
nął się do niej z przedziwną sło-
dyczą.

Porwał ją znowu kaszel. Wy-
szła na korytarz i tylko przez uchyl-
lone drzwi spoglądała na śpiącego.
Patrzyła w niego z całą, dawno

skrywaną miłością, z najgłębszym podziwem, uwielbieniem i wdzięcznością, lecz pomimo tego, przejmował ją teraz jakimś niewytłomaczonym lękiem i bała się go coraz więcej.

Był już dzień, kiedy dojechali na granicę; drzewa stały w szronach, jakby w srebrno-błękitnawych obłokach, ale słońce się nie pokazywało, i niebo wisiało szare i mgliste.

Józio prędko załatwił kwestyę przejazdu i prawie zaraz wsiadł do zagranicznego pociągu.

— Prędko odjeżdżamy?—spytała Frania, gorączkowo spacerując po korytarzu.

— Za dziesięć minut!—odpowiedział, przyglądając się najspokojniej żandarmom.

— Wezmę co z bufetu na drogę?— zaproponowała dosyć nieśmiało.

— Tylko się nie spóźnij!— rzucił przez ramię.

Pobiegła śpiesznie i już się więcej nie pokazała—tylko gdy pociąg ruszył, mignęła mu w jednym z okien bufetu jej twarz, strasznie zapłakana.

— Baba z wozu, koniom lżej!

Machnął ręką, położył się i spał do samego Wiednia.

Nazajutrz dzień był mglisty i zimny, padał deszcz i lepkie błoto pokrywało ulice, gdy Józio wyszedł z hotelu na miasto. Czuł się niesłychanie rześwy i wesoły, wykwiłował się też nadzwyczajnie w garderobę, kufry, bieliznę i przeróżne drobiazgi, potem wziął fiakra i kazał się obwieźć po głównych ulicach. Wieczorem zwiedzał tingle i kawiarnie, a wszędzie tak sympał napiwkami, że służba tytułowała go hrabią. Miasto doskonale znał z Baedekera i przez parę dni z namaszczeniem zwiedzał wszystkie jego osobliwości,—ale wszystko go zawiodło i wydawało mu się małym, płaskim i nudnym!

— Inaczej to sobie wyobrażałem! Inaczej!—westchnął jakoś żalownie.

I pojechał do Monachium. Kraj obrazem przyglądał się dosyć pobieżnie i apatycznie, znacznie więcej zwracając uwagę na stacye, kolejowych urzędników i pasażerów, wobec których przybierał pozy znużonego arystokraty, włóczącego się po świecie dla przyjemności, chociaż z początku rozmawiał ze wszystkimi bardzo chętnie, ale dowiedziawszy się, że ci wspinali panowie—to tylko jacyś kupcy, odsunął się od nich, milczał, lub uzbrowiłszy oko w monokl, odpowiadał wyniosłymi monosylabami. Musiał

im zaimponować, gdyż spoglądali na niego z pewną uniżonością, tak właściwą niemcom wobec arystokraty.

Monachium nie podobało mu się już od pierwszego kroku, całe bowiem miasto cuchnęło obrzydliwie mdłym zapachem siodu i zwierzęcego piwa. Tyle się jednak był na czytał o cudach jego architektury i sztuki, że po całych dniach szukał chociażby cienia, chociażby odbłasku swoich wymarzeń. Nic mu jednak nie dałotego wytęsknionego dreszczu wniebowzięcia, nic go nie zajęło i nie porwało. Na sztuce się nie znał, ludzie wydali mu się wstrętni, a miasto nudne; właściwie to sam nie wiedział, czego szuka.

— To nie to, o czym myślałem, nie to! To szynk, a nie Ateny!—myślał z goryczą i pojechał do Paryża. A ponieważ dzień był słoneczny, z przyjemnością przyglądał się zieleniejącym połom i góróm.

— Tam będzie inaczej! Inaczej!—śpiewało mu rozkołatane nadzieją serce.

Po wielu, wielu godzinach cichych medytacyi zbudził go radosny krzyk.

— Paryż! Józio rzucił się do okna i zmartwił w słodkiem osłupieniu rozkoszy.

Gdzieś, w nieprzejranych mrokach wykwiwały luno, oceany ognistych fal chlustały w czarne, zadyszczone niebo, złocisty rozlew brzasków jaśniał, niby wysniona, czarodziejska wyspa.

Pociąg leciał, nie przystawał nigdzie, nie zwalniał, lecz leciał coraz prędzej, leciał, jak oszalały—już majaczyły jakieś kominy, jakieś miasteczka, jakieś pałace wśród parków, jakieś wody, niby oczy, przysłonięte bielmami. Paryż się zbliżał, wyrastał, potężniał z każdą minutą i olbrzymiał, niby złowieszcze, tajemnicze widmo.

— Jeszcze pół godziny!—jęknął w męce oczekiwań, serce tłukło mu się niespokojnie, leciał rozgorzałymi oczami z wichrem w zawody, unosił się, jak ptak, opity siłą własnego lotu, i śpiewał niemy hymn nieukojonęj tęsknoty...

— Jeszcze dwadzieścia minut!— Prawie już omdlewał z niecierpliwości.— Jeszcze dziesięć... Wszyscy już się podnoszą... zdejmują walizy... tłoczą się w korytarzach... tysiące oczów wpija się chciwie w mrowisko wyrastających murów... Jeszcze pięć... Trzęsie się już cały... ledwie oddycha... cały świat z nim wiruje... pociąg już zwalnia... słychać jakby szum morza i gruchoty fal nigdy nie milknących!..

— Nareszcie! Boże mój! Nareszcie!

Fala tłumów porwała go z pociągu, poniosła i rzuciła w oszalałą otchłań.

— Więc to Paryż? Ale dlaczego tak ciemno? Dlaczego tak pusto? Dlaczego tak smutnie?

Północ wydzwaniały zegary, mżył deszcz, było zimno, wichur targał drzewami, na ulicach lśniło błoto, rzędy domów ponurych, jak więzienia, ciągnęły się nieskończonymi gołkami, czarne gdzieśle wązkich uliczek zionęły zgnilizną, pod ścianami tulili się jacyś ludzie w łachmanach, z szynków buchały dzikie wrzawy, policyanci przeprowadzali go podejrziwymi oczami, że zrobiło mu się strasznie smutnie i źle.

— Pierwsze wrażenie często bywa fałszywe! Jutro... Jutro... Uspokajał strwożone serce.

I nazajutrz rano, pelen świętych wrzuseń i oczekiwań, wyszedł na miasto. Obojętnie wymijał wspaniałe sklepy, kawiarnie, zatłoczone ulice, wrzaskliwe, szumiące, jak morze, ciżby i to wszystko, co było zarówno w każdym wielkiem mieście, a szukał niestrudzenie swojego Paryża! Paryża swoich wymarzeń i tęsknot, Paryża cudów i upojen! Szukał go dnie całe, bez wytchnienia i z jakimś zapamiętałym, dzikim uporem. Przecież mu trwał pod czaszką, jak baśń czarodziejska, przecież te nazwy: Luwr, Inwalidzi, Bulwary, Łuk Tryumfalny, Sekwana, Panteon—zawsze mu brzmiały, jak jeden święty różaniec nieopisanych zachwyceń, przecież zbliżał się do nich, jakby do ołtarzy z sercem pełnym cichych, gorących rozmodleń! I czemuż są takie obce, nieme, bezduszne, wrogie i takie inne, niżli tamte we snach i marzeniach, takie strasznie inne?

Odchodził od nich śmiertelnie smutny i szarpany nieukojoną tęsknotą.

— Więc gdzież jest ten mój Paryż? Gdzie to szczęście, które mnie stąd wołało przez tyle długich lat? Gdzie?—wołał z rozpaczą.

Nie usłyszał odpowiedzi, błakał się coraz smutniejszy, bardziej zgorzkniały i apatyczny, aż jakiegoś dnia postanowił jechać do Londynu.

— To pewnie tam znajdę! Z pewnością tam!—wmawiał w siebie przez jakiś czas.

Ale nie pojechał, przesiadując całe dnie po kawiarniach, zapatrzony beżmyślnie w przeciągające tłumy. O kraju i przeszłości wspominał niekiedy, ale wspominał z niechęcią, jak o zapomnianej, niemi-

tej książce; do Buczka też wybierał się codziennie, ale zawsze coś stało mu na przeszkodzie. W końcu i już na seryo zaczął się wybierać do Ameryki, gdy pewnego dnia, kiedy wychodził z bufetu, garson szepnął mu tajemniczo:

— Policya szuka pana! Mogą przyjść w nocy! — dorzucił ostrzegawczo.

— To jakieś nieporozumienie! — odpowiedział najspokojniej, dając mu suty napiwek. Poszedł, jak zwykle, do kawiarni, ale wydało mu się, że zwraca ogólną uwagę i wyszedł na ulicę. Błąkał się bez celu i wciąż czuł, że ktoś za nim się skrada. Przyspieszył kroków, policyantów wymijał zdaleka, uciekał prawie i, nie wiedząc kiedy, znalazł się za miastem, wśród pól zielonych.

Dzień był wiosenny, ciepły a nieco przemglony; nad lśniącymi wodami chwiały się zielone pióro-

pusze topoli, sady stały w kwiatkach, śpiewały ptaki, a z czarniawych ról brzoskwinie wynosiły się różanemi obłokami. Wskrósł sadów przeleciał zadyszany pociąg.

Józio przysiadł nad plantem i zapatrzył się w nadciągający zmierzch, brzoskwinie trzęsły na niego różany okwiat, wiatr pieścił mu zgorączkowaną twarz, a on siedział jakby zmartwiał, pełen niewypłakanych łez i pełen strasznej, nieukojojonej tęsknoty.

— Wszystko jest kłamstwem, nawet marzeniem! — myślał przesmutnie i naraz drgnął, spojrzał i zsunął się na szynę... Nadbiegał jakiś pociąg, zamigotały ogniste ślepie, zadygotała ziemia... już było słychać warkot kół, zabrzęczały szyny — zbliżał się z szaloną szybkością... jeszcze jedno mgnienie... krótki, wstrząsający krzyk... przeleciał, jak grzmot, i zginął w mrokach, jakby go nigdy nie było...
KONIEC.

Spojrzał na ogród. Postanowienie srogie okrutne, które miało w sobie coś z tryumfu, gasło na jego twarzy

Ofiara jednak została już spełniona.

XXVII.

Wieczorem dnia następnego przybyli do Tunisu i zajęli do *Hotel d'Orient*, dokąd byli przedtem napisali, zamawiając pokoje na noc. Byli pewni, że miasto całkiem już opuszczone przez europejskich mieszkańców — obecnie, gdy począł się sezon zimowy, gdy jednak zajęli przed drzwiami hotelowe, wyszedł gospodarz i oświadczył im, iż z powodu przybycia całego statku amerykańskich turystów, którzy po zwiedzeniu Wschodu i Ziemi Świętej przybyli obecnie oglądać Tunis, nie może im udzielić oddzielnego apartamentu. Przepraszając i usprawiedliwiając się, oświadczył, iż wszystkie oddzielne apartamenty zamienione na sypialnie, lecz tylko na jedną noc. Jutro cała ta banda odjedzie i państwo otrzymają wspólny salon. Słuchali w milczeniu tych wywodów, stojąc w wązkim przejściu do *hall'u*, który był zawalony barykadą pakunków.

— Jutro! — powtórzył Androwski — jutro wszystko będzie inaczej!

Domini spojrzała na Androwskiego, który stał z głową spuszczoną, patrzący w ziemię.

— Czy mamy szukać innego hotelu? — zapytała.

— Jak chcesz — odrzekł cichym głosem.

— To całkiem bez pożytku — rzekł gospodarz, — wszystkie hotele przepełnione. W innych nie znajdują państwo nawet sypialni.

— Może tedy lepiej pozostaćmy tu — rzekła do Androwskiego.

Głos jej był również cichy i zmęczony. W sercu jej coś zdało się mówić: „Nie upieraj się dłużej. W ogrodzie wszystko się już skończyło. Jesteś już w lico z końcem“.

Gdy znalazła się sama w małej sypialni, która była pełna hałasów ulicy, gdy umyła się i zmieniła ubranie, uprzytomniła sobie wpółni, jak wielce liczyła w duchu na jeden jeszcze wieczór sam na sam z Androwskim. Lecz to się nie miało ziścić. Będzie musiała być z nim razem wśród kupy turystów amerykańskich — będzie musiała. Serce jej ścisnęło się. Zdało jej się na chwilę, iż gdyby tylko ten jeden wieczór mogła spędzić w ciszy i pokoju z człowiekiem, którego kochała, umocniłoby to ją na potem do zniesienia wszystkiej doli; gdy atoli tego wieczoru jej zbraknie,

Robert Hichens.

Przekład z angielskiego.

OGRÓD ALLAHA.

52

Powstał raptownie z kanapy i stanął przed nią, patrząc na nią z góry, usilnie.

— Nie żałuję tego, Domini, żem spotkał cię, żeśmy byli razem, żeśmy się pokochali wzajem, żeśmy się pokochali na wieki. Nie żałuję tego. Nie próbuję nawet i nie chcę żałować. Nie żałuję, żem nauczył się przez ciebie rozumieć życie. Wiem, że Bóg ukarał mnie za to, com zrobił. W miłości mej dla ciebie — zanim ci powiedziałem prawdę, tę inną prawdę — nie miałem chwili pokoju — miałem chwile uniesień — namiętych uniesień, lecz nigdy chwili pokoju. Bowiem zawsze, nawet w najpiękniejszych chwilach, towarzyszyła mi męka. Bowiem zawsze byłem świadom tego, że zgrzeszyłem przeciw Bogu, przeciw tobie, przeciw moim słubom wieczystym. A jednak teraz mówię ci, Domini, jak to rzekłem Bogu w tej pierwszej chwili, kiedy znów mogłem się modlić, że jestem rad, że jestem wdzięczny, żem kochał cię, żem był przez ciebie kochany. Czy źle to? Nie wiem. Jestem, jakim jestem. Bóg mnie takim uczynił. Bóg mi wybacz, że jestem, czem jestem. Nie mam lęku, nie trwożę się. Wierzę, śmiem wierzyć, że On chce, bym myślał o tobie aż do końca dni moich. Śmiem wierzyć, że On by zniemawidził mnie prawie, gdybym przestał cię kochać. Oto jest moja spowiedź inna — moja spowiedź przed tobą. Stworzony by-

łem, być może, na mnicha. Lecz razem byłem stworzony, bym mógł cię pokochać, bym mógł poznać twą miłość, twe piękno, twą czułość, twą boskość. Gdybym cię nie poznał, gdybym umarł, jako mnich, jako dobry mnich, który słubów nigdy nie złamał — umarłbym — czuję to, Domini — w wielkiej, w strasznej niewiedzy. Znałbym wielką dobroć Boga, lecz nie znałbym nigdy pięknego dzieła Jego dobroci. Bowiem nigdy nie zagnałbym tej dobroci żywo, namacalnie. On mnie jej nauczył przez ciebie. On mnie umęczył przez ciebie, — tak jest, lecz przez ciebie również On dał mi możność zrozumienia Jego. Kiedym był w klasztorze, kiedym miał pokój, kiedym tonął w modlitwie, gdy byłem bezwzględnie czysty, bezwzględnie — tak mnie mam — dziecięciem Bożem, nie znałem Boga istotnie. Teraz, Domini, znam Go. Teraz zawsze, kiedy będę myślał o tobie, gdy będę cię wspominał, będę mocen rzec o Nim: „Bóg to miłość“.

Zamilkł, lecz twarz jego wciąż jeszcze mówiła, lecz oczy jego czytały w jej oczach. I w tej ostatniej chwili zrozumieli się wpółni, do głębi swych istot.

W dali rozbrzmiał dzwon kościelny.

— Borysie — rzekła szybko Domini. — Jutro musimy jechać. Jutro opuścimy Beni-Morę. Wiesz o tem?

— Tak jest — odrzekł, — wiem.

złamię się i padnie. Czuła się zrozpaczoną.

Rozległ się dzwon na dole. Nie poruszyła się, chociaż słyszała go, chociaż wiedziała, co on znaczy. Po chwili zastukano do drzwi.

— Co takiego?—zapytała.

— Obiad gotów, proszę pani— odrzekł głos z akcentem srodze cudzoziemskim.

Domini podeszła do drzwi i otworzyła je.

— Czy pan wie już?

— Pan czeka już w sali na panią.

Zeszła na dół i znalazła Androwskiego.

Obiadowali przy małym stoliku w pokoju, jarzącym się od światła elektrycznego i przewiewnym od ruchomych wachlarzy. W pobliżu ich stolika przy dużym stole, przybranym w kwiaty, obiadowali amerykańscy turyści. Panie w kapeluszkach, ze zwieszającymi się woalami. Panowie w podróżnych ubraniach. Byli ogorzali i weseli, śmieli się i rozprawiali z żywością niepomierną.

Skończywszy krótki obiad, Domini i Androwski przeszli do *hall'u*. Na lewo salon ogólny był otwarty. Rzucili tam okiem—ujrzeli kanapy, kryte pluszem czerwonym, duży stół na środku z mnóstwem gazet, żyda z siwą brodą, piszącego list, i dwie stare niemki, pijące kawę i robiące pończochy.

— Pustynia! — wyszeptał Androwski.

I naraz wyszedł za próg i postąpił na ulicę. Stały tam rzędy powozów, oczekujących wynajęcia. Skinął na jeden z nich, zaprzężony w parę tęgich arabów. Gdy powóz nadjechał, rzekł do Domini:

— Wsiądziesz, Domini?

Usłuchała. Androwski rzekł do woźnicy:

— Jedź do Belwederu. Dookoła parku... aż póki ci nie powiem, byś wracał.

Woźnica zaciął konie i pomknęli szeroką aleją, mijając wspinał się oświetlone kawiarnie, klub wojskowy, pałac rezydenta, gdzie stali żuawi.—potem skręcili na lewo i wkrótce znaleźli się na drodze, ciągnącej się linią prostą wśród siedzib podmiejskich, obszarów pustych i pól równych. Naprzeciw nich wznosił się pagórek z czarnością drzew, które go osłaniały. Jadąc tak ciągle, wjechali na sam wierzch wzgórza.

— Stój! — rzekł Androwski do woźnicy.

Woźnica ściągnął konie.

— Czekaj tu na nas.

Androwski wsiadł.

— Czy przejdziemy się trochę?—rzekł do Domini.

— Dobrze... dobrze.

Wysiadła też i poszli wolno drogą opuszczoną. W dole ujrzeli światła statków, przesuających się po zatokach, wielkie oko strażnicy, ognie odległe wiosek, cieniem zasnutych wzdłuż brzegów, a tam dalej jeszcze—zółte lśnienie, które górowało nad morzem ponad zatokami i zdało się czuć cierpliwie nad wszystkimi, którzy tu szli i odchodzili, pielgrzymi łądów Afryki. Lśnienie to szło od Kartaginy.

Od morza ponad równiną dopłynął do nich powiew z lubą świeżością życia rzeźkiego i wyczułonego.

Szli czas jakiś w milczeniu, wreszcie Domini rzekła:

— Z cmentarza w El-Largani patrzałeś na to wszystko, Borysie, Nieprawdaż?

— Tak jest, Domini—odrzekł.— I wtedy ten głos przemówił do mnie.

— Nie przemówi już więcej. Bóg da, że nie przemówi już nigdy.

— Skąd możesz wiedzieć?

— Jesteś doświadczony przez ogień, Borysie, nie jesteś atoli spalony na śmierć.

Rzekła to do siebie, dla umocnienia siebie, dla pokrzepienia własnej swej duszy.

— Tego wieczoru czuję, jak gdyby to miało być inaczej— odrzekł.— Gdyśmy przybyli do hotelu, zdało mi się, myślałem, że nie będę mógł odejść.

— A teraz?

— Teraz nie wiem nic ponad to, że to mój ostatni wieczór z tobą. I zdaje mi się to, Domini, rzecz zupełnie nie do wiary, chociaż wiem o niej. Nie mogę sobie wyobrazić jutra zdala od ciebie, życia, w którym ciebie nie ujrzę. Czuję, iż odchodząc od ciebie, odchodzę jakby od siebie, iż rzecz pozostała nie jest już człowiekiem, lecz łuską rzuconą. Czy mogę modlić się bez ciebie, kochać Boga bez ciebie?

— Najbardziej bezemnie.

— Lecz czyż mogę żyć bez ciebie, Domini? Czyż mogę z dnia na dzień budzić się do słońca i wiedzieć, że cię już nigdy nie ujrzę... i żyć z tem? Czy mogę? Czy zdołam? Nie czuję, bym zdołał. Może Bóg, wejrząwszy na mą skruchę, zmiłuje się.

— Jak, Borysie?

— Może mi pośle śmierć.

— Wszystkie myśli naszego serca zatrzymajmy, Borysie, na życiu, którym raz jeszcze On nas razem obdarza. Spójrz, Borysie, na te światła w ciemności. Będą one zawsze światłami.

— Nie widzę ich—rzekł.

Spojrzała na niego i ujrziała łzy, płynące mu po policzkach. I oto znowu, w ten ostatni wieczór ich braterstwa, Bóg dał jej moc nad nim i nad sobą. Na skraju wzgórza, niedaleko od miejsca, gdzie szli, ujrziała świątynię maurytańską, pobudowaną z marmuru, z wążkami łukami i kolumnami, ze stopniami marmurowymi.

— Usiądźmy tu na chwilę, Borysie!—rzekła.

Szedł za nią po stopniach marmurowych. Dwa czy trzy razy potknął się, nie podała mu atoli ręki. Siedli tam pomiędzy rzędami kolumn i patrzeli z góry na miasto, którego bielejące kościoły i minarety ledwie już były widzialne wśród wieczora. Pierś Androwskiego uniosła łkania.

— Jakże ja mogę odejść od ciebie? — mówił łamiącym się głosem.— Jakże to może być? Jak zdołam, jak zdołam? Poczom ja dał ci tę moją miłość, tę straszną rzecz, ten krzyk, ten wybuch mego ciała, mego serca, mej duszy? Domini, Domini... co to wszystko ma znaczyć... ta tajemnica tortury... to biczowanie ciała, to rwanie w kawały mej duszy i twojej? Czy dowiemy się, czy dowiemy się kiedy o tem?

— Jestem pewną, iż dowiemy się, iż dowiemy się z czasem o wszystkim, i czem jest tajemnica pokoju. A wtedy, być może, a wtedy napewno każde z nas będzie rade, iż tak cierpieliśmy. Cierpienie splecie koronę dla naszego szczęścia. Nawet teraz, Borysie, chwilami, gdy cierpię, czuję, jak gdyby w tem był rodzaj blasku, nawet rodzaj dostojeństwa w tem, co robię, jak gdybym doświadczała mojej własnej duszy, doświadczała siły, którą Bóg złożył we mnie. Uczmy się, Borysie, uczmy wśród tej wszystkiej trwogi mówić sobie: „Jestem nieugięty, jestem niezwalczony!

— Czuję, iż mógłbym to rzec sobie nawet wśród chwil najstraszniejszych, gdybym tylko mógł cię ujrzeć czasami... chociażby tak zdala, jak widzę teraz te światła.

— Będziesz mnie widział w swych modlitwach i ja cię będę widziała w swoich.

— Ale krzyk ciała, Domini, krzyk oczu, rąk... by widzieć... dotykać... to takie okrutne... takie... takie...

— Wiem, słyszę go także, zawsze. Jest atoli i drugi głos zarazem, który będzie miał moc, gdy tamten się w ciszę wieczną rozchwije. We wszystkich sprawach cielesnych, nawet najpiękniejszych, jest coś, co jest końcem. Wycią-

gnijmy biedne, słabe, drżące nasze ręce ku nieskończoności. Mniemam, że każdy, co żyje, czyni to pośród życia, chociaż czasami nieświadomie. My to uczynimy świadomie, ty i ja. Będziemy zdolni uczynić to...bowiem tak strasznie cierpimy oboje. Będziemy mieli to do spełnienia, będziemy musieli spełnić to... ty tam, gdzie pójdziesz, i ja...

— Ty... gdzie będziesz, Domini?

— Nie wiem, nie wiem. Nie chcę myśleć o tem, co będzie jutro, w tych ostatnich niewielu godzinach, w tych ostatnich...

Głos jej zachwiał się i złamał. I wtedy łzy napłynęły również do jej oczu, tak, że przez czas jakiś nie mogła widzieć światła odległych.

Gdy znów przemówiła, rzekła: — Chodźmy teraz, Borysie.

Powstał bez słowa. Odszukali powóz i pojechali z powrotem do Tunisu.

Gdy przyjechali do hotelu, znaleźli się w ciżbie turystów amerykańskich, rozprawiających zaciekle o tańcach, które widzieli, i nawołujących o napoje rzeźwiące, by ugasić pragnienie, spowodowane gorącem w zamkniętych izbach domów wschodnich.

Wcześniej rankiem powóz był już przed drzwiami hotelu. Gdy siedli do niego, woźnica zwrócił się ku nim.

— Dokąd mam jechać, proszę pana?

Androwski spojrział na niego i nie dał odpowiedzi.

— Do El-Largani—rzekła Domini.

— Do klasztoru, proszę pani?

— Tak jest.

Gwizdnął na konie wesoło. Gdy biegły, dzwonki dzwoniły dokoła ich szyi, dzwoniły rzeźką pobudką ku słońca blaskom, które rozlały się nad krajiną. Przejechali mimo placu musztry, słyszeli głosy komendy, werble bębnow. I każdy dźwięk zdawał się im odległym i każda postać poruszająca się zdawała im się daleką. Ten świat afrykański, tak okrutnie wyrazisty w czystym powietrzu pod niebem bezchmurnem, był im obojgu czemś nierzeczywistym, był zasnutym, jak kraja północna w czas mgły jesiennej. Dokoła nich był świat nierzeczywisty. Rzeczywistość była w nich samych. Siedzieli obok bez słowa. Słowa były teraz dla nich czemś nieużytecznym. Cóż bo mogli więcej sobie powiedzieć? Wszystko i nic. Całego okresu życia byłoby nie dosyć, by mogli powiedzieć jedno drugiemu, co każde czuło, co mieli w sercu i w myśli podczas tej jazdy z miasta do klasztoru, który

stał na wzgórzu. A czyż ich czyni tego ranka nie powiedziały wszystkie, co mieli sobie do powiedzenia? Cisza klasztoru trapistów spłynęła ku nim poprzez równinę i wody blade jezior — i dusze im oniemiała.

Dzwonki atoli na szyjach końskich wciąż dźwięczały wesoło, a woźnica, który miał wieść Domini samą z powrotem do Tunisu, gwizdał i pośpiewywał na koźle wesołim.

Przejechali właśnie koło wielkiego krzyża drewnianego, który stał na piedestale kamiennym u skraju gajku z drzew oliwkowych. Krzyż ten stał na granicy posiadłości El-Largani. Gdy Domini zobaczyła go, spojrzała na Androwskiego, a oczy jego odpowiedziały na jej pytanie milcząco. Woźnica puścił konie cwałem, jakby chcąc czempędzej dotrzeć do celu. Piastował w duchu dobre czerwone wino mnichów. W obłoku pyłu białego powóz toczył się szybko pomiędzy winnicami, w których tu i owdzie pracowali ludzie, osłonięci od słońca wielkimi kapeluszami słomianymi. Długi sznur wozów, naładowanych baryłami i ciągnionych przez muły, okryte dzwonkami i ostionięte liśćmi od owadów, przeciągał drogą koło nich. W oddali ujrzała Domini lasek z eukaliptusów. Naraz zdało się jej—jakgdyby ujrzała Androwskiego, idącego od tego lasku ku białej drodze i podtrzymującego na swem ramieniu człowieka, który był blady i który się chwiały, jak półomdlały, którego atoli lico było pełne dzikiej pasji i radości— cudzoziemca, którego wpływ pociągnął go z klasztoru w świat. Pochyliła głowę i ukryła twarz w dłonie, modląc się z całej mocy, by zdobyć odwagę w tej najwyższej chwili jej życia. Atoli tuż zaraz prawie modlitwa zamarła w jej sercu i ustach — i oto spostrzegła, że powtarza słowo z *Nasładowania*:

„Miłość czuwa i wśród snu nie zasypia. Wśród pracy nie utrudza się, wśród wiewów nie jest szpetną, wśród trwogi nie miesza się, lecz jak żywy płomień i gorejąca pochodnia w górę wybucha i bezpiecznie przechodzi. Kto kocha, ten rozumie, co ów głos znaczy“.

Raz jeszcze i raz jeszcze powtórzyła słowa: „Bezpiecznie przechodzi — bezpiecznie przechodzi“. Teraz wreszcie poznała prawdę najistotniejszą tych słów, które umiłowiała w szczęściu, których się uchwyciła teraz, jak dziecię uchwytuje się ręki ojcowskiej.

Powóz skręcił na prawo, wjechał w wążką aleję, wreszcie zatrzymał się.

Domini uniosła lico z rąk swoich. Ujrzała przed sobą wielkie odrzwia, które stały otworem. Nad niemi był posąg Matki Bożej z Dziecięciem, a z dwu stron aniołowie z mieczami i gwiazdami. Pod tem był napis wielkimi literami:

JANVA COELI.

Niżej — poprzez otwór drzwi ujrzała przestrzeń otwartą, zalaną blaskami słońca, trzy drzewa palmowe i drugie drzwi, które były zamknięte. Nad temi drzwiami był napis:

„Les dames n'entrent pas ici“.

Gdy tak patrzała, poprzez szlak, zalany słońcem, przesunęła się z wolna postać bardzo starego mnicha z długą białą brodą — i zniknęła.

Woźnica obrócił się ku nim na koźle.

— Tu państwo wysiadacie — rzekł głosem pełnym wesela. — Pani pozostanie w rozmównicy na prawo od pierwszych drzwi, podczas gdy pan może iść do gospody. O, tam.

Wskazał batem i znowu zajął dawną pozycję.

Domini siedziała bez ruchu. Usta jej poruszały się, raz jeszcze powtarzając słowa z *Nasładowania*. Androwski powstał z siedzenia, wysiadł ciężko z powozu i stał obok niego. Woźnica był zajęty zapaleniem wielkiego cygara. Androwski pochylił się naprzód ku Domini z rękoma na krawędzi powozu i patrzył na nią oczyma bez łez.

— Domini! — wyszeptał wreszcie. — Domini!

Wtedy ona zwróciła się ku niemu, pochyliła się, złożyła ręce na jego ramionach i przez długą chwilę patrzała w twarz jego, jakgdyby chciała w spojrzeniu tem napatrzeć się na wszystkie lata, które jeszcze nadejdą. Czy jej również były bez łez.

Wreszcie pochyliła się i dotknęła jego czoła ustami.

Nic nie rzekła. Ręce jej opadły z jego ramion, odwróciła się, i usta raz jeszcze się poruszyły.

Wtedy Androwski ruszył z wolna poprzez odrzwia klasztoru, przetrznął szlak słoneczny, uniosł dłoń i uderzył w dzwon u wtórych drzwi.

— Proszę wracać do Tunisu!

— Ależ, proszę pani! — rzekł woźnica.

— Wracaj do Tunisu!

— Pani nie poszła... ale pan...

— Wracaj z powrotem!

W głosie jej było coś, co przypaowało o zdrzenie woźnicę. Chwilę zawałał się, patrząc na Domini ze swego siedzenia, a potem, zakławszy półgłosem, zawrócił konie i smagnął je batem ze złością.

„Miłość czuwa i wśród snu nie zasypia. Wśród pracy nie jest spętana, wśród trwogi nie miesza się... wśród trwogi“.

Usta Domini przestały się poruszać. Nie mogła już dalej mówić. Nie mogła nawet modlić się bez słów.

Atoli w chwili tej nie czuła się samotną.

XXVIII.

W ogrodzie hrabiego Anteonego, który przeszedł teraz w inne ręce, widzieć można często bawiącego się chłopczyka. Jest on wesoły, jak bywają wesołe dzieci, lecz często jest swawolny i z prostej pustoty rozrzuca stożki piasku, usypiane starannie przez ogrodników na wązkich ścieżkach pomiędzy strumykami, lub obrywa płatki geranium i rzuca je wietrzykom, które szmerzą pośród drzew. Lecz gdy odezwie się flet Lاربiego, biegnie wraz słuchać go. Siada u stóp tego uporzycowego miłośnika i śledzi ruch smagłych palców na dziurkach fujarki, a mała jego twarzączka staje się poważną i marzącą, jak gdyby patrzyła na rzeczy dalekie, jak gdyby śledziła bieg mirażu, powstającego tajemnie w słonecznych przestworzach pustyni, by zniknąć wkrótce bez śladu.

Jedną tylko pieśń kocha bardziej, niż melodye ćwierkające Lاربiego.

Czasami, gdy mrok padnie na pustynię, matka woła go do siebie, ku białemu murowi, oddzielającemu ogród od pustyni, gdzie siaduje pod drzewem dżamelonu.

— Słuchaj, Borysie!—mówi mu półgłosem.

Chłopię wdrapuje się jej na kolana, wspiera twarzączkę na jej piersi i słucha. Tam w dole, szlakiem pustynnym, przechodzi arab i śpiewa sobie w powrotnej drodze ku domowi w oazie:

„Nikt, prócz Boga i prócz mnie,
Nie wie, co w mem sercu“.

Śpiewa pieśń wolnych arabów. Gdy pieśń już zamrze w przestrzeni, matka zdejmując chłopca z kolan. Czas już mu spać, i Smain już czeka, by zaprowadzić go do białej willi, gdzie będzie spał bez snów aż do rana.

„Nikt, prócz Boga i prócz mnie,
Nie wie, co w mem sercu“.

Matka atoli pozostaje u muru, aż póki noc nie spadnie na piaski i pustynia nie zniknie dla oczu.

Szepce te słowa do siebie. Świeży powiew nocy przepływa nad

obszarami Sahary i muska jej twarz, przypominając jej ten powiew w Arabie, który przyniósł ku niej iskry ognia, gdy siedziała przed namiotem—przypominając jej dni szczytne wolności, pasyi, która przyszła do jej duszy, jak ogień, w pustyni.

Nie burzy się atoli.

Bowiem zawsze, gdy noc zapadnie, w duszy jej świeci obraz modlącego się czteka, który zbiegł był niegdyś od modlitwy w pustyni, i obraz wędrowca, który dom swój wreszcie odnalazł.

KONIEC.

TREŚĆ NUMERU 52-go.

Emilia Plater. *Wacław Gąsiorowski.*
Marzyciel. *Władysław St. Reymont.*
Ogród Allaha. *Robert Hichens.*

PRENUMERATA wynosi z przesyłką pocztową: 4 rb. rocznie, 2 rb. półrocznie, 1 rb. kwartalnie.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
Aleja Jerozolimska, № 49.

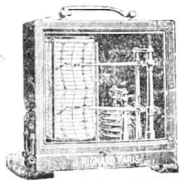
Redaktor i wydawca „Romansu i Powieści“:
JÓZEF JANKOWSKI.

Redaktor odpowiedzialny na Galicję: Antoni Chołoniewski, Kraków, ul. Zyblikiewicza № 8.

Druk Tow. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie

Wyprzedaż

DOROCZNA, W GRUDNIU
w Fabr. Składzie Krajowych Dywanów
p.f. R. SZCZERBIŃSKI
Marszałkowska 114.



Barotermometr samozapisujący niezbędny w rolnictwie.

Automatyczne notowanie ciśnienia atmosferycznego pozwala przewidywać stan pogody na zasadzie kształtu krzywej linii z dnia poprzedniego, oraz k onstatowanie zmiany w temperaturze.

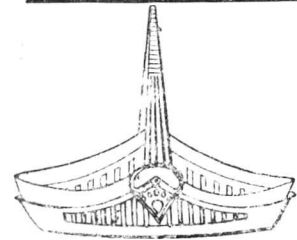
Wyłącznie przedstawiciele firmy

J. Richard w Paryżu,

Tow. urządzeń szkoln. i pomocy naukowych „Urania”

Warszawa, Bracka 18.

Cenniki polskie na żądanie.



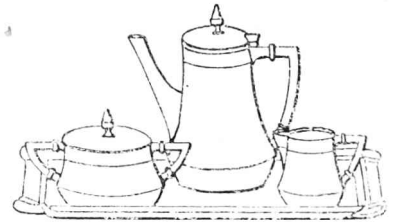
A. JASKULSKI,
Warszawa, Wierzbowa № 1.

Skład główny i wyłączna sprzedaż wyrobów platerowanych Akc. Tow.

poleca wielki wybór najnowszych modeli R. Plewkiewicz i S-ka.

w sztuccach i nakryciach stołów. platerowanych. Wyroby ze srebra, brązu, cennego marmuru, niklowane. Naczynia kuchenne Bernsdorfskie z czystego niklu.

Wyprzedaż towarów dawniejszych z ustępstwem znacznym od cen stałych.



NAJLEPSZE DO MYCIA SĄ MYDŁA Przetłuszczone higieniczne

udelikatniają skórę i chronią ją od wpływu temperatury wyrobu Apteki M. Malinowskiego
Nowy-Swiat 35 w Warszawie.

Olbrzymi pożytek dla pp. Rolników i Hodowców.

Dla bydła, trzody chlewnej i koni

niezrównany w skutkach, niezastąpiony przez żaden inny preparat

„VIS“

Przez swój wyjątkowy skład chemiczny, preparat „Vis” zaostża apetyt, powoduje lepsze trawienie, wzmacnia kości i muskulaturę zwierzęcia, zwiększa wagę i wydajność mleka, zapobiega chorobom etc. „Vis” przy stałym jego użyciu daje **zdrowe, silne i tęgie okazy**. Dodaje się do każdego karmu po jednej tylko łyżce. Dokładne prospekty na żądanie.

Fabryka preparatu „VIS” Inżynier St. Goldbaum,
WARSZAWA, Żłota № 46, telefon 110-32.

TOWARZYSTWO AKCYJNE
Zakładów Przemysłowo-Budowlanych
FR. MARTENS i AD. DAAB
Biuro Zarządu: w Warszawie, Wiejska № 9. : Telefon 55-84.
Roboty budowlane w ogólnem przedsiębiorstwie. **00** ulica Piotrkowska № 215.
BIURO W ŁÓDZI;

